

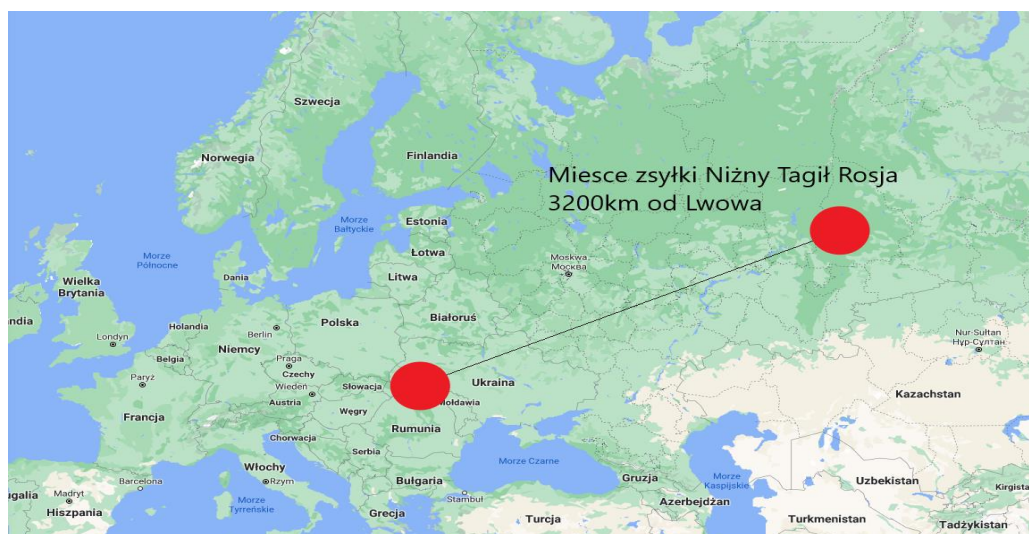
GODŁO: **KK**

III edycja konkursu literackiego
„Nasza ziemia, nasz dom – pamiętnik pokoleń – Nasze dziedzictwo”

Symbolika przedmiotów, niezwykłych zbiegów okoliczności oraz niebywałego szczęścia. Tak w jednym zdaniu mogę streścić opowieść, która niezwykle mnie poruszyła, a dotyczy losów mojego pradziadka. Zdefiniowała ona również losy mojej rodziny. Przywiodło do miejsca, w którym żyjemy tu i teraz. Ogrom nieszczęścia, łez i cierpienia, które niestety wiążą się z tą opowieścią, sprawiły, że bardzo długo zastanawiałem się, czy mogę użyć zwrotu “przygoda życia”... Lecz jak można nazwać podróż, która trwała 7 lat, wiodła przez Syberię, Bliski Wschód, południową Afrykę, Szkocję, Anglię, Francję, Holandię i Belgię, podczas trwania II wojny światowej, a została zapoczątkowana nie z własnej woli, tylko przez przypadkowe znalezienie karabinu?

Ale może od początku. Przygoda życia mojego pradziadka Józefa Zazuli rozpoczęła się jesienią 1940 roku. Mieszkał wraz z ciężarną żoną Karoliną i 5 letnią córką Aleksandrą we wsi Horbula w okolicach Lwowa na terenie dzisiejszej Ukrainy. Był rolnikiem i właścicielem niewielkiej ilości ziemi. Podczas jesiennych prac polowych jego uwagę przykuł metalowy przedmiot, który odsłoniła przeorana przez niego ziemia. Był to karabin z czasów I wojny światowej. W jego dłoniach widniał symbol walki, męstwa oraz czyjś poświęcenia. Z zaciekawieniem oglądał go długo i zastanawiał się, co z nim począć. Takie znalezisko dla człowieka polskiego pochodzenia, żyjącego na tych terenach w okresie II wojny światowej, nie mogło wróżyć niczego dobrego. Jednak nieświadomy niebezpieczeństwa zabrał karabin ze sobą. Neroztropnie przewiesił go wraz z pasem amunicji przez ramię, co nie uszło uwadze mijających go sąsiadów i denuncjatorów. Nie zdążył nawet umyć się po pracy, kiedy powiadomiona przez sąsiadkę milicja zapukała do jego domu, a znaleziony karabin odmienił na zawsze losy jego i jego rodziny...

Aresztowany spędził w więzieniu pół roku. W tym czasie faszystowskie Niemcy zaatakowały Związek Radziecki. Kraj szykował się do obrony, a los osadzonych w więzieniach mógł być tylko jeden – śmierć. Józef jako młody, silny rolnik został wysłany do obozu pracy. Patrząc na rozstrzeliwanych więźniów, z ulgą przyjął swój przydział. Szybko przekonał się jednak, że wyrok śmierci został jedynie odroczoney.



W spartańskich warunkach, w nieogrzewanych wagonach bydłych przepelnionych ludźmi wyruszył w kierunku północnym. Podróż trwała prawie trzy tygodnie. Na miejscu przywitał ich widok tajgi, śniegu i zniszczonych baraków. Syberia - wyrok śmierci i kat w jednym. Tylko nieliczni potrafili przetrwać, a już na pewno wrócić do domu. Wiedział, iż tylko cud sprawi, że znów zobaczy się z rodziną.

Jednak, jak się później wielokrotnie przekonał, życie potrafi zaskoczyć i ów cud się wydarzył. Ku zaskoczeniu wszystkich odzyskał wolność już po niecałym roku zsyłki. W ramach protokołu paktu Sikorski - Majski podpisanego między rządem Polski w Londynie a ZSRR, Józef został objęty amnestią. Komendant obozu oznajmił to wszystkim więźniom polskiej narodowości: „Jesteście wolni”.

Opuszczał teren obozu, zostawiając za sobą koszmar, jaki w nim przeżył. Pracując przy wyrębie lasu w niesamowitym mrozie, stracił część palców u nóg i rąk. Wreszcie poczuł delikatny powiew wolności i ogromnej nadziei na powrót do domu. Jednak nie było to proste. Od domu oddzielał go front, na którym toczyły się walki między nazistami i Rosjanami, odcinając bezpośrednią drogę powrotu. Jedynie kierunek południowy wzdłuż linii frontu do miast, w których formowano armię generała Andersa, dawał szansę na przedostanie się do Polski.

Krajobraz za oknem pociągu zmieniał się na coraz bardziej przyjazny człowiekowi. Zieleń, ciepło promieni słońca na twarzy, śpiew ptaków oraz brak uczucia przenikliwego głodu, jaki towarzyszył mu przez ostatni rok, umilały Józefowi podróż przez ogromną Azję na Bliski Wschód do Iranu. To tam czekał na niego mundur, bilet do wolności, bilet do domu. Nigdy nie marzył o byciu żołnierzem, nie czuł się bohaterem, ale jeśli była to jedyna droga do ojczyzny, to był gotów nim zostać. Tysiące ludzi zgromadzonych na statku w nieznanym kraju, mnóstwo narodowości i obcych języków, a z nimi on, rolnik z Ukrainy. W mundurze, który pomimo najmniejszego rozmiaru i tak był na niego za duży. Wszyscy byli więźniowie gułagów prezentowali się w nich jak nędzarze, tułacze, jak ich później nazwano. Żołnierz, Andersowczyk – to od tego momentu też i on.

Płynęli długie miesiące, oglądając przez burtę statku fale Oceanu Indyjskiego, a z drugiej plaży Czarnego Łądu, Afryki, a dokładnie jej wschodniej części. Afrykanie, palmy, rekiny... Przecież jeszcze niedawno walczył o przetrwanie w siarczystym mrozie, a tu taki widok! Gdy dotarli do portu w Durbanie w Afryce Południowej, był rok 1942.



Tutaj, jak na ironię, niedawny więzień został strażnikiem jeńców wojennych z Niemiec, Włoch i Japonii. Było to w okolicach miasta Pitermarizburg. Tam też odwiedził ich generał Sikorski. Na jego przywitanie Józef zaprojektował i wykonał z pomocą innych polskich żołnierzy pięknego orła z naszego godła. Tutaj też objawił się jego artystyczny duch. Za pieniądze, jakie otrzymywał jako żołnierz (żołd), kupił aparat fotograficzny. Wykonał sporo zdjęć, które na szczęście zdołały się zachować. Stanowią niesamowitą pamiątkę tamtych czasów. Od tej pory aparat zawsze znajdował się u jego boku. W tym czasie dał się poznać również jako dobry mechanik, naprawiając pojazdy, które były na wyposażeniu wojska.

Czas płynął nieubłaganie i wielu z żołnierzy postanowiło zostać i osiedlić się w Afryce. Józefowi jednak myśl o losie żony i dzieci nie dawała spokoju. Przecież oni nawet nie wiedzieli, że on żył. Ich kontakt urwał się w momencie wywózki na Syberię. Chcąc ich odnaleźć, musiał wraz z innymi towarzyszami broni ruszyć w dalszą drogę. Przez zachodnie brzegi Afryki w górę, wysoko, aż do Szkocji. Przepływając Ocean Atlantycki, cudem uniknęli zatopienia przez niemieckie łodzie podwodne. Siały one niesamowite spustoszenie tak wśród statków wojskowych, jak i handlowych. W Szkocji formowano oddziały polskich żołnierzy, którzy mieli wziąć udział wraz z siłami alianckimi w wyzwoleniu Europy z rąk nazistów.



Ponieważ Józef lepiej radził sobie z kluczem francuskim i śrubokrętem niż z karabinem, został przydzielony jako mechanik do I Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Tutaj rozpoczął się jego kolejny szlak żołnierski, tym razem bojowy. Po długim szkoleniu i przygotowaniach, latem 1944 roku dotarł wraz z dywizją do miejscowości Caen i Falaise we Francji.

Wreszcie stanął na kontynencie, z którego 3 lata wcześniej został wywieziony na tereny Azji. O ile widok wojska w Afryce czy Szkocji wciąż przypominał mu tylko, że na świecie trwają działania wojenne, to tutaj zobaczył wojnę, tę prawdziwą, okrutną. Ruiny

miast zbombardowanych wskutek nalotów bombowców, ciała poległych żołnierzy i ofiar ludności cywilnej, dzieci płaczące nad ciałami rodziców, złodziei plądrujących w poszukiwaniu jedzenia, ludzi gotowych zrobić wszystko, by przeżyć.

Myślał o żonie i dzieciach. Czy żyją? Czy sobie radzą? Wojna to nie tylko huk karabinów i wybuchy. To również cisza po tych, którzy odeszli, pustka po tym, co było, a już nigdy nie wróci. To samotność i ciągła walka o przetrwanie. Nie tylko kule karabinów mogły pozbawić życia. Głód, choroby i nieumiejętność radzenia sobie także. To wszystko widział, przemierzając zniszczoną Francję. Zmieniło go to również jako człowieka. Choć początkowo traktował mundur jako bilet do domu, nagle poczuł więź i szacunek do niego. Nie był już tylko przebraniem czy odzieniem. Był czymś więcej. Honor, Bóg, Ojczyzna. Te słowa nabrały nowego znaczenia dla zwykłego rolnika z Ukrainy. Zahartowany syberyjskim mrozem, ciągłą wędrówką i walką o przetrwanie, przeszkolony w oddziałach wojskowych wśród takich samych jak on mężczyzn, którzy zdeterminowani walczyli z nazistami, zbliżał się do domu. Kilometr po kilometrze, miasto za miastem, kraj za krajem i tak aż do końca wojny. Do wygranej.

Wojna zakończyła się jednak ogromnym rozczarowaniem, zarówno dla narodu polskiego, żołnierzy generała Andersa, 1 Dywizji Pancerniej oraz dla samego Józefa. Po pierwszych entuzjastycznych miesiącach wyłonił się nowy obraz podziału Europy. Niestety, Polska znalazła się w strefie wpływów ZSRR. Choć Józef był tak blisko domu, musiał jeszcze poczekać i zdecydować, czy w ogóle do niego dotrze. Wielu żołnierzy nie zdecydowało się już wtedy na powrót do odrodzonej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zostali w Wielkiej Brytanii lub wyemigrowali do USA i Kanady. Nie widzieli przyszłości dla siebie w komunistycznej Polsce. Powrót oznaczał dla nich również represje i w najgorszym wypadku śmierć. Jako żołnierze walczący u boku Amerykanów i Anglików byli traktowani jak wrogowie Polski Ludowej. Józef musiał być pewny, że żona Karolina tam jest i czeka na niego. Podróż do ojczyzny oznaczała również bilet w jedną stronę. I tutaj wydarzył się kolejny cud. Udało mu się uzyskać informację o losach swojej najbliższej rodziny. Nawet o miejscu jej pobytu w Polsce – Ruja na Dolnym Śląsku. Decyzja zapadła błyskawicznie.

Jako jeden z nielicznych Józef zdecydował się wrócić. Miłość do żony i dzieci okazała się silniejsza niż strach przed represjami. Ucieczka była równoznaczna z rozstaniem, a na to nie mógł się zgodzić. 13 czerwca 1947 roku na niewielką stację kolejową na Dolnym Śląsku dotarł pociąg, a wraz z nim Józef. Przyodziały w żołnierski mundur, płaszcz i wojskowe buty wysiadł z wagonu. Był już w Polsce, do której przywiózł zapas kakao z Afryki, aparaty fotograficzne z pudłami klisz pełnych zdjęć i inne rzeczy, które za niewielki żółd udało mu się zgromadzić podczas pobytu w Anglii.

Nikt nie wiedział, że Józefowi udało się uzyskać informację z organizacji humanitarnej Czerwony Krzyż o miejscu pobytu jego żony i dzieci przesiedlonych ze wschodu na nowe ziemie zachodnie. Karolina również nie przypuszczała, że Józef cały i zdrowy wróci do Polski i odnajdzie ją na Ziemiach Zachodnich. O czym myślał, co czuł Józef, kiedy szedł w kierunku dużego poniemieckiego gospodarstwa w Rui? Była tam jego żona, córka Aleksandra i sześciolatek już syn Tadeusz, którego jeszcze nigdy nie widział. Tylko metry oddzielały go od drzwi domu. Siedem lat rozłąki, setki tysięcy kilometrów przejechanych, przepłyniętych statkiem i pokonanych pieszo. Mrozy Syberii i upał Afryki, koszmar wojny i szlaku wyzwolenia Europy – to wszystko już było za nim.

Jego żona przygotowywała posiłek dla siebie i dzieci. Jako samotna matka, żona zesłanego przez władze ZSRR kryminalisty (bo tak był określany), nie miała łatwo. Cudem

udało jej się przeżyć wojnę i zaopiekować samej dwojgiem dzieci. Potem podróż w nowe miejsce ponad tysiąc kilometrów na zachód. Bez informacji o losie męża. Jedynie nadzieja, modlitwa i miłość do dzieci dawały jej siłę do walki z trudnościami każdego dnia.

Gdy usłyszała głośnie i stanowcze pukanie do drzwi, wystraszone dzieci podbiegły do niej. Takie stukanie do drzwi pamiętała jeszcze z czasów, kiedy milicja zabrała jej męża. To nie mogło być nic dobrego. Drzwi uchyliły się i zobaczyła męża. Cud i niedowierzanie, radość i łzy. Uściskom nie było końca. Radość ze spotkania i opis tego wydarzenia może już tylko pozostać w naszej wyobraźni.

Dalsze losy Józefa Zazuli w Polsce Ludowej jako byłego żołnierza Andersa były trudne, a ogrom następnej tragedii, jaką szykował dla niego los, zasługuje na osobną opowieść. Kończąc ją w tym miejscu, w murowanym domu we wsi Ruja, ma się poczucie, że była cudowną przygodą i pochwałą wiary w przyszłość i dobre zakończenie. Pochwałą nadziei na powrót do domu.

Dzięki wspomnieniom dziadka Józefa, które przekazał nam – swoim dzieciom i wnukom – mieliśmy szansę uczyć się prawdziwej historii naszego kraju. Szkoła pod dyktando władz z Moskwy uczyła nowej, socjalistycznej. My wiedzieliśmy o zbrodni katyńskiej, wiedzieliśmy, kim był i co zrobił Stalin, jak potraktowano nas, Polaków, po II wojnie światowej, czym był „obrzydliwy kapitalistyczny zachód” naprawdę, a czym „jedyna słuszna władza ludowa”. Tego dowiedzieliśmy się od niego – Józefa Zazuli. Mówił to wszystko otwarcie. Był odważny. Nie uważał się już tylko za rolnika. Chciał, aby pochować go w mundurze jako żołnierza 1 Dywizji Pancerniej. Pozostał nim w głębi serca do końca życia. Żołnierzem, który swój pierwszy karabin wykopał z ziemi.



1.

1. Obraz, który po zakończeniu wojny, jeszcze przed powrotem do ojczyzny, namalował mój pradziadek Józef Zazula.

2. Mój pradziadek Józef Zazula (po lewej).



2.